

W CENTRUM POLSKI

MIESIĘCZNIK GMINY ANDRESPOL



GAZETA SAMORZĄDOWA
EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

ISSN 2450-193X

Numer 9 (50)/2019

27 września 2019 r.

Temat miesiąca

GOK inaczej



Stało się! Trzeba umieć podnosić się z kolan. Trzydziestego sierpnia marszałek województwa Grzegorz Schreiber złożył swój podpis pod umową, dzięki której ze środków unijnych na modernizację GOK dostaniemy cztery miliony sto pięćdziesiąt tysięcy złotych - sześćdziesiąt dwa procent wartości inwestycji.

Dwa lata temu byliśmy na przegranej pozycji. Jesienią dwa tysiące siedemnastego roku Urząd Marszałkowski odrzucił nasz pierwszy wniosek o dofinansowanie z zasobów Regionalnego Programu Operacyjnego rekonstrukcji Gminnego Ośrodka Kultury. Głównym powodem było restrykcyjne podejście łodzian do kwestii przewidywanych w projekcie przebudowy udogodnień dla przyszłych, niepełnosprawnych gości placówki. Urząd Marszałkowski projekt odrzucił, bo dokumentacja nie przewidywała istnienia w ośrodku windy.

We wrześniu minionego roku w biurze opiniującego całe przedsięwzięcie stowarzyszenia Łódzki Obszar Metropolitalny złożyliśmy skorygowane, główne założenia projektu. Dzięki pozytywnej ocenie przez stowarzyszenie przedstawionej przez nas fizyki projektowej - i roli jaką w tym przypadku odegrało ono w relacjach z dysponującym unijnymi pieniędzmi Urzędem Marszałkowskim - znaleźliśmy się na tak zwanej liście pozakonkursowej. O środki na inwestycję w Wiśniowej Górze nie musieliśmy się ścigać z innymi gminami. Formalny wniosek o dofinansowanie projektu powtórnie złożyliśmy w styczniu bieżącego roku. Pod koniec czerwca było już wiadomo, że odnosząc się do niego merytorycznie, Urząd Marszałkowski wniosek ocenił pozytywnie.

Dwa lata temu, kiedy pierwszy raz staraliśmy się o dofinansowanie, ubiegaliśmy się o dwa miliony czterysta tysięcy złotych, bo ogólne koszty inwestycji szacowane były wówczas na trzy miliony sześćset tysięcy. Dziś przyjmujemy, że modernizacja GOK

kosztować będzie sześć milionów siedemset tysięcy złotych. O skali przedsięwzięcia wiele mówi fakt, że przy obecnych ośmiuset pięćdziesięciu czterech metrach, całkowita powierzchnia przebudowanego ośrodka wyniesie mała tysiąc pięćset pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Licząca dziś łącznie ze sceną niecałe dwieście pięćdziesiąt metrów kwadratowych sala widowiskowa po rekonstrukcji mierzyć będzie trzysta czterdzieści trzy metry kwadratowe. Wyposażona zostanie w fachowe, nowoczesne oświetlenie i nagłośnienie pozwalające na profesjonalną realizację przedstawień teatralnych i musicalowych oraz w specjalistyczny sprzęt do projekcji filmów. Przyda on sali jeszcze jednej, niedostępnej jej dziś funkcji. Po modernizacji GOK w swym wielofunkcyjnym wymiarze będzie mógł pełnić także rolę kina, do którego bilety - tak zresztą jak i na inne organizowane w ośrodku imprezy - rezerwować będzie można przez Internet. Kolejną ciekawostką jest fakt, że zakupiona aparatura projekcyjna pozwoli na realizację seansów filmowych w plenerze. Choćby nad stawami w Justynowie, co ma szansę stać się nie tylko kulturalną, ale i... turystyczną atrakcją naszej gminy.

Innymi, niezwykle interesującymi - z punktu widzenia kulturowej tradycji także ważnymi - elementami wyposażenia ośrodka będą koło garncarskie i piec do wypalania gliny. W XXI wieku, kiedy niektórzy nachalnie próbują nas przekonywać, że rodzinę stanowi może dwóch tatusiów - lub dwie mamusie - i dziecko, warto w obszarze kultury wracać do czasów, kiedy w sferze wartości wszystko było jeszcze normalne. Siadając przy garncarskim

kole - lub tylko na nie popatrząc - sięgać myślami nie po gliniane garnki ma się rozumieć, ale po wzorce moralne epoki, w której glina odgrywała w życiu ludzi większą rolę niż teflon...

Pod koniec stycznia dwa tysiące dwudziestego drugiego roku GOK ma być jak nowy i wyglądać będzie tak, jak na zdjęciu. K.S.

W numerze:



Otwartym tekstem

W połowie wakacji władze gminy stanęły wobec perspektywy, że od września - podczas trwającej rozbudowy - szkoły w Justynowie nie będzie miał kto poprowadzić.

Czytaj na str. 3



W zasięgu fal

W Wiśniowej Górze znów zawrzało. Na ile jednak maszty telefonii komórkowej nam szkodzą? Badacze są podzieleni. WHO takiej szkodliwości zaprzecza.

Czytaj na str. 6



Piłkarski miszmasz

Warto bliżej przyjrzeć się temu, co u progu jesiennej rundy stało się w klubach i czego w nowym sezonie można się po naszych zespołach spodziewać.

Czytaj na str. 7

REKLAMA

u Marka
Ekologiczny opał

Bukowiec ul. Zielonogórska 15A
Spełniamy normy ekoprojektu Czyste Powietrze

Tef. 730 156 156 www.ecg-24.pl



Draństwo

„Nie ma nic gorszego
aniżeli aktywna głupota.”

Johann Wolfgang Goethe

Przyzwoci ludzie nie znajdują słów. Trzeba być przygłupem i moralnym karłem zarazem by świadomie - z premedytacją - niszczyć to, co inni z pieczołowitością w pejzażu gminy instalowali. Co służyć ma ogółowi i z czego wielu jest dumnych.

Latem, kilka dni po oddaniu do użytku platform na stawach w Justynowie na jednej z nich jakiś bezmyślny frustrat w kilku miejscach porządkował linki zabezpieczające przed przypadkowym wypadnięciem do wody. W efekcie na platformie zamontowano powleczone w plastik linki stalowe, co kosztowało nas wszystkich pięć tysięcy złotych. Wandal - grono wandalii? - nie dał jednak za wygraną. Nie mając możliwości pocięcia stalowych zabezpieczeń, wykręcił dwie plastikowe śruby mocujące poszczególne segmenty platformy. Powstało zagrożenie, że w tym miejscu się ona rozpolowi.

Tchnące naturalnym pięknem okolice stawów potrafimy okaleczać także w inny sposób. Jakiś czas temu na pierwszym z parkingów przy ulicy Łódzkiej ktoś wyrzucił całą furę budowlanych odpadów. Pracownicy Zakładu Gospodarki Komunalnej mieli co robić. I kiedy wydawało się, że jest już po sprawie, dwa tygodnie później sterta porębnego resztek znów się na parking znalazła. Cóż dodać...? Może tylko to, że w naszej gminie - w naszym gronie - to nie jedyne i nie pierwsze przypadki dewastującej środowisko chuliganerii.

W ubiegłym roku na przyszkolnym boisku w Justynowie - kiedy ktoś powypalał tam papiero-

sem dziury w siatce chroniącej piłkę przed wypadaniem poza obszar pola gry - zainstalowano kamery. Nie uchwyciły się długo. Którejś nocy dwóch absolwentów szkoły zniszczyło cztery z nich. Sprawcy nie zauważyli, że jest jeszcze piąta kamera, która ich nagrała, co pomogło doprowadzić oprychów przed sąd. Obojgu zasądzone po osiemdziesiąt godzin pracy na rzecz gminy. I dopiero w tym momencie dochodzimy na skraj opowieści o tym, jak pokiereszowane moralnie mogą być ludzkie osobowości - jeden z młodocianych wandalii zasądzone godziny odpracował, drugi zaś długo sądowy wyrok ignorował i nadal ignoruje jego wykonanie w całości. Ciekawe jak do wyroku odnieśli się ci, którzy regularnie niszczą siatki przy boisku na „Orliku”. Oczywiście gdyby zostali złapani.

Gminną lobuzerię stać na wiele. Także na barbarzyńskie gesty, których echa niosą się daleko poza naszą okolicę. W ubiegłym roku do sekretarza gminy Elżbiety Ciesielskiej przyszła jedna z naszych współmieszkanek z informacją, że ma właśnie u siebie gości z Izraela, którzy z goryczą przyjęli fakt, że na budynku sklepu Mila w Andrespolu wymalowana jest gwiazda Dawida z ordynarnym napisem pod spodem i nazwą jednego z łódzkich klubów sportowych. Pani sekretarz natychmiast skontaktowała się z kierowniczką supermarketu, która ohydny „mural” kazala zamalować. Szkoda tylko, że właściciele Mila nie stać było na równe pomalowanie całej ściany i plama farby pokrywająca nieludzki w swej treści napis straszy przechodniów do dziś.

Według niektórych, muszą jeszcze minąć co najmniej dwa pokolenia byśmy wszyscy nauczyli

się przyzwoitości. Póki co, w Urzędzie Gminy co jakiś czas rozpatrywana jest koncepcja, by za pomocą kilkudziesięciu kamer poddać monitoringowi całą gminę... Tylko czy naprawdę nie mamy innego wyjścia jak tylko ucieczka w świat Orwella? Friedrich Schiller, niemiecki poeta i filozof przełomu XVIII i XIX wieku powiedział, że „Z głupotą sami bogowie walczą nadaremno”. My nie musimy odwoływać się do panteonu germańskich bóstw. Co roku płacimy ponad dwieście tysięcy złotych na trzy dodatkowe etaty w gminnym posterunku policji i od czerwca do października każdego roku pokrywamy koszty dodatkowych policyjnych patroli... Być może kiedyś to wystarczy, bo jak dotąd udało się schwycić tylko tych bezmyślnych wyrodków, których w Justynowie nagrała kamera.

K.S.

W drodze do sanktuarium



Mimo upałów doszli wszyscy, którzy na jasnogórskie błonia ruszyli. Cała IX grupa, stu trzydziestu sześciu pieszych i stu rowerzystów z łódzkiego Olechowa, Andrzejowa i z naszej gminy. Od nas pielgrzymów było najwięcej, z samej tylko parafii Bedoń dziewięćdziesięciu. Tegoroczna, 94. Piesza Pielgrzymka Łódzka na Jasną Górę odbyła się w dniach 21-24 sierpnia.

W tym roku stutrzydziestokilometrowa droga przed oblicze Matki Bożej Częstochowskiej była trudniejsza niż w latach poprzednich. Doskwierał nie tylko upał. Problemem były też remontowane drogi - bywało, że iść trzeba było po wyboistych odcinkach szos, nierządkiem wzdłuż połaci świeżo położonego, parującego asfaltu. Niezależnie od tego, szliśmy wytrwale z religijną pieśnią na ustach. Część z nas w zielonych koszulkach z herbem gminy, zakupionych przy okazji jednej z poprzednich pielgrzymek za nasze wspólne, budżetowe pieniądze. Dlatego właśnie IX grupa zyskała wśród reszty pielgrzymów miano „zielonej”.

Mimo zmęczenia pod klasztor doszliśmy z radością. W niczym niezamąconym, religijnym uniesieniu. Modlitwy przed cudownym obrazem Czarnej Madonny rozpoczęły się odprawioną przez kardynała Konrada Krajewskiego uroczystą mszą świętą, podczas której homilię wygłosił arcybiskup metropolita łódzki Grzegorz Ryś.

K.S.

Fot.: www.archidiecezja.lodz.pl

Z prac samorządu

Mimo urlopow w wakacje radni odbyli dwie sesje - dwudziestego czwartego lipca i dwudziestego siódmego sierpnia. Program sesji sierpniowej był szczególnie bogaty. W jej trakcie podjęto szesnastę uchwał. O części decyzji przyjętych podczas obu posiedzeń - o naszym zdaniem najważniejszych - po dwumiesięcznej przerwie znów Państwa informujemy. Ze względu na harmonogram druku gazety o odbytej siedemnastej września XII sesji Rady Gminy opowiemy w październiku.

W lipcu obrady zdominowały sprawy finansowe - decyzje dotyczące zmian w tegorocznym budżecie gminy. Korekty w wysokości 890 tysięcy złotych dokonano tak po stronie naszych wydatków, jak i dochodów. Wskazując na główne wydatki, zacząć warto od tego, że w perspektywie nowego roku szkolnego na bieżące potrzeby przekazano szkołom 145 tysięcy złotych więcej niż pierwotnie przewidywano. Dzięki temu, między innymi placówka w Justynowie, w związku z rozpoczętym właśnie remontem, mogła zakupić zestaw szafek ubraniowych, a w szkole w Bedoniu możliwy był remont toalet. Na modernizację świetlicy w Janówce z kolei radni dodatkowo wyasygnowali w lipcu 30 tysięcy złotych. O 100 tysięcy złotych zwiększyli zaś środki na oświetlenie ulic, a Gminny Ośrodek Kultury dostał 20 tysięcy złotych na pokrycie kosztów czerwcowego Festynu Rodzinnego i na zaplanowane, październikowe koncerty. O największą kwotę, o 460 tysięcy złotych, Rada Gminy zwiększyła jednak środki na budowę gminnej kanalizacji.

Budżet musi się bilansować. Na zwiększone o kwotę 890 tysięcy złotych dochody gminy złożyło się: 560 tysięcy złotych odsetków od nalichzonego w 2009 roku - a zwróconego nam przez Urząd Skarbowy później niż się należało - podatku VAT, większa od spodziewanej o 312 tysięcy

złotych kwota udziału gminy w podatku dochodowym od osób fizycznych oraz 20 tysięcy złotych dotacji z Urzędu Marszałkowskiego.

Spośród pozabudżetowych decyzji omawianej sesji na uwagę zasługuje uchwała stanowiąca regulamin korzystania przez nas z naturalnych dobrodziejstw obszaru justynowskich stawów, ze ścieżki rowerowej i z zainstalowanych latem platform. W kontekście dokonanych tam niedawno dewastacji - o czym piszemy w tekście wyżej - dokument ten ma szczególne znaczenie. Chronić ma bowiem prawnie tak przyrodnicze, jak i infrastrukturalne dobra Marysinka. Przewiduje on między innymi zakaz posługiwania się na platformach otwartym ogniem i wjazdu na nie rowerami. Ze względu na pokrewieństwa z częścią zapisów Kodeksu karnego, regulamin podlega aktualnie szczegółowemu konsultacjom z prawnikami Urzędu Wojewódzkiego.

Zmiany budżetowe dokonane podczas XI, sierpniowej sesji Rady Gminy miały jeszcze większą wartość niż prezentowane wyżej lipcowe. O 1 269 000 złotych zwiększono wydatki gminy w związku z rozpoczętą realizacją trzyletniego projektu szkolnego pod nazwą „Odkrywcy nowych możliwości”. Dzięki niemu nasi uczniowie będą mieli możliwość uczestnictwa w dodatkowych zajęciach, a same szkoły wzbogacą się o nowy sprzęt dydaktyczny. 1 246 000 złotych za pośrednictwem Urzędu Marszałkowskiego otrzymamy na ten projekt z Unii Europejskiej, co oznacza, że pochłonie on jedynie 23 tysiące własnych zasobów gminy. Z kolei ze środków Europejskiego Funduszu Społecznego o 144 tysiące zwiększony został w sierpniu potencjał finansowy senioralnego projektu „Wisienka”.

Dodatkowe wydatki instytucji samorządowych oraz niektóre - te mniejsze - inwestycje w całości pokrywane są także ze środków wła-

nych gminy. W sierpniu radni zdecydowali, że - czerpiąc z bieżących wpływów z VAT-u od inwestycji - o 79 tysięcy zwiększyć należy dotację dla Ośrodka Pomocy Społecznej, 43 tysiące złotych więcej przekazać na utrzymanie dzieci w rodzinach zastępczych, a 30 tysięcy złotych wyasygnować na modernizację placów zabaw.

Pozabudżetowe uchwały XI sesji miały wieloraki zakres. Jedną z nich formalnie powołano do życia Centrum Aktywności 60+ Dzienny Dom Seniora w Andrespolu. Jednostka włączona została w strukturę gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej, którego szef uzyskał od tego momentu rangę dyrektora. Na przeciwnym biegunie spektrum zainteresowań gminnej społeczności znalazła się uchwała, mocą której dotychczasowy sposób wnoszenia z góry miesięcznych opłat za pobyt maluchów w gminnych przedszkolach uległ przekształceniu na system płacenia ich z dołu. Usprawnić ma to sposób rozliczania wnoszonych przez rodziców należności. Zasadniczą dla funkcjonowania naszych mikrospołeczności wagą ma inna z sierpniowych uchwał Rady Gminy. Podczas prezentowanej sesji radni - na wniosek Urzędu Wojewódzkiego - dokonali zmiany w statucie sołectwa Zielona Góra polegającej na tym, że w zebraniach wiejskich w tej miejscowości udział brać mogą wszyscy mieszkańcy, ale głosować podczas tych zebrań mają prawo tylko w sołectwie zameldowani.

Spora część sierpniowych decyzji dotyczyła gminnych ulic. W celu ich poszerzenia radni postanowili, że gmina zakupi cztery działki w Bedoniu Przykościelnym i jedną w Kraszewie. Inna kwestia to to, że ulica Malinowa w Janówce w całości, a ulice: Wypoczynkowa w Justynowie i Wodna w Bedoniu Przykościelnym w częściach zmieniły swój status prawny. Z prywatnych tak zwanych ulic wewnętrznych, mocą decyzji rady - ze wszystkimi tego konsekwencjami w zakresie całorocznego utrzymania ich stanu - stały się ulicami gminnymi. I na koniec niezwykle sympatyczna informacja. W sierpniu nowej ulicy w Justynowie radni nadali nazwę Niezapominajki.

K.S.

Ważne telefony

URZĄD GMINY ANDRESPOL

95-020 Andrespol, ul. Rokicińska 126
tel./faks: 42 213 24 40

POLICJA - POSTERUNEK ANDRESPOL

tel. 42 213 20 07

ZAKŁAD GOSPODARKI KOMUNALNEJ

tel. 42 213 24 57, 535 526 367

GMINNA PRZYCHODNIA ZDROWIA

tel. 42 213 23 62

APTEKI:

- Na Skrzyżowaniu – Andrespol, Rokicińska 124, tel. 42 649 13 73
- Miętowa – Andrespol, Rokicińska 125, tel. 42 213 20 25
- Apteka Najlepsza dla Ciebie – Andrespol, Rokicińska 125 D, lok. D-1, tel. 42 647 00 51
- Apteka prowadzi zbiorke leków przeterminowanych
- Apteka Sיעiowa – Andrespol, Rokicińska 146, 42 307 02 50
- Dbam o Zdrowie – Andrespol, Projektowana 16, tel. 42 213 22 33
- Farm-Med – Justynów, Łódzka 37, tel. 42 236 23 31

„Apteka Sיעiowa” w Andrespolu przy ul. Rokicińskiej 146 w dni powszednie jak i w święta pracuje przez całą dobę.



„W Centrum Polski”, miesięcznik gminy Andrespol. Wydawca: Gminna Biblioteka Publiczna w Andrespolu. Redaktor naczelny: Krzysztof Spychalski. ADRES REDAKCJI: Gminna Biblioteka Publiczna 95-020 Andrespol, ul. Rokicińska 125; telefon - dzięki uprzejmości sekretariatu Urzędu Gminy Andrespol - 42 235 27 11; e-mail: krzysztof.spychalski@andrespol.pl. Redakcja zastrzega sobie prawo skrótu materiałów nadesłanych i nie odpowiada za treść ogłoszeń płatnych. Skład, łamanie: Agencja Wydawnicza PAJ-Press. Druk: JW PROJEKT.



**Rozmowa z sekretarzem gminy
Elżbietą Ciesielską**

Falstart

„W Centrum Polski”: - Jak to możliwe, że w czasie kiedy szkołę w Justynowie czeka rozległa rozbudowa, nowy rok szkolny placówka rozpoczyna pod nadzorem i kierownictwem osoby pełniącej obowiązki dyrektora?

Elżbieta Ciesielska: - Z końcem sierpnia bieżącego roku skończyła się kadencja byłego dyrektora szkoły, a Zbigniew Soszka zdecydował się jej nie przedłużyć. Wiosną tego roku władze gminy rozpięły więc konkurs na to stanowisko. Dwunastoosobowa komisja konkursowa pre-



zentowała szerokie spektrum zainteresowanych - łącznie z reprezentantami Kuratorium Oświaty i rodziców uczniów szkoły, o której mówimy. Wybrany kandydat - do momentu powołania na dyrektora w Justynowie, ale i obecnie, pracownik łódzkiego kuratorium - znakomicie się zaprezentował. Przywołał swoje doświadczenia z kierowania dwoma placówkami oświatowymi. Mówił też, że prowadził duże modernizacje szkół. Mimo to w połowie wakacji złożył rezygnację ze stanowiska, motywując swą decyzję faktem rozbudowy justynowskiej placówki w trakcie roku szkolnego. Dla nas to był cios. Podwójny. Nie dość, że w tym czasie trzeba było powtarzać poprzedni, unieważniony przetarg na rozbudowę szkoły - a tym samym opóźnić termin rozpoczęcia prac - to na dokładkę stanęliśmy wobec perspektywy, że od września, podczas trwającej inwestycji, nie będzie miał kto szkoły poprowadzić.

- **Czemu spośród sześciu kandydatów komisja - była pani jej członkiem - zdecydowała się właśnie na takiego, który wybrany osiemnastego kwietnia, dwudziestego szóstego lipca złożył rezygnację? Nie było poważniejszych pretendentów? Przecież desygnowany**

przez was na stanowisko dyrektora pracownik kuratorium wiedział o czekającym go re-monce.

- Dwukrotnie komisja go o to pytała. Za każdym razem odpowiadał, że wie.

- **Zostawmy sprawę niedoszedłego dyrektora ocenie zawiedzionych rodziców justynowskich uczniów. Ważniejsze, że w rezultacie zaistniał-go faktu, dwudziestego siódmego sierpnia była wicedyrektor szkoły Urszula Kopeć do końca czerwca przyszłego roku powołana na stanowisko „p.o. dyrektora”. Co dalej?**

- Mając wyobrażenie o trudnościach, przed jakim stanęła pani dyrektor, bacznie przyglądać się będziemy jej pracy i intensywnie ją wspierać, a w odpowiednim momencie ponownie zorganizujemy dyrektorski konkurs. Rozpoczęta dwudziestego ósmego sierpnia rozbudowa to najważniejsze, ale nie jedyne wyzwanie dla świeżo powołanej szefowej placówki. Nowym doświadczeniem będzie też formuła, w jakiej od września funkcjonuje wydzierżawiona zewnętrzny przedsiębiorcy szkolna stołówka.

- **I chyba jeszcze coś, czego w publicznej rozmowie nie warto pomijać - pod koniec sierpnia do Urzędu Gminy dotarła wiadomość,**

że jesienią w Justynowie rozpoczyna się proces ewaluacji szkoły - prowadzonej pod nadzorem i z inicjatywy Kuratorium Oświaty kompleksowej oceny jej działalności...

- Działania te rozpoczną się w pierwszej dekadzie października i wierzę, że niezależnie od tego o czym mówimy, ocena działalności szkoły wypadnie jak najlepiej - mimo naturalnego skupienia pełniącej obowiązki dyrektora na rozbudowie placówki.

- **Rozbudowa już się rozpoczęła. Kiedy bieżący numer gazety dotrze do rąk Czytelników, gotowe ma być nowe dojsście do szkoły od strony zakupionej przez gminę**

dwa lata temu działki przy ulicy Krótkiej, a wewnątrz budynku istnieć już ma ściana oddzielająca podlegającą rozbudowie część frontową od eksploatowanej w trakcie remontu reszty obiektu. Czego w trakcie tej modernizacji władze gminy obawiają się najbardziej?

- Ściana, o której pan wspominał, oczywiście oddzielać ma strefę prac budowlanych od części szkoły, w której odbywać się będą zajęcia. Gwarantować ma to bezpieczeństwo uczniów i nauczycieli. Mamy jednak świadomość, że w trakcie rozległych prac budowlanych - w wyniku których powstaną siedem nowych pomieszczeń klasowych, nowa szatnia, świetlica, biblioteka, sekretariat, gabinet dyrektora oraz duży pokój nauczycielski i powiększona stołówka - nie da się uniknąć czyhających na nich niedogodności. Nie da się do zera zredukować elementu ryzyka. Liczymy zatem na zrozumienie ze strony rodziców. Przede wszystkim, bardzo o nie prosimy. A czego się boimy? - mając świeżo w pamięci rozbudowę szkoły w Wiśniowej Górze, obawiamy się zaburzeń przyjętego w umowie harmonogramu realizacji inwestycji. Prace w Justynowie zakończone mają być czterdnastego sierpnia przyszłego roku i wykonawca musi zrobić wszystko, by tak się stało.

- **A skoro o obawach mowa - nie boicie się Państwo kolejnego strajku nauczycieli? W Justynowie w sferze organizacji pracy szkoły nie mogłoby wydarzyć się nic złego więcej.**

- Myślę, że do strajku nie dojdzie. Dwudziestego siódmego sierpnia ukazało się rozporządzenie ministra edukacji narodowej zmieniające dotychczasowe rozporządzenie w sprawie

sposobu podziału części oświatowej subwencji ogólnej dla jednostek samorządu terytorialnego. Zwiększając gminom poziom tej subwencji, akt ten gwarantuje nauczycielom istotną podwyżkę. Według szacunków, od września zasadnicza płaca stażysty wynosić będzie 2782 złote, a średnia - to znaczy zasadnicza z dodatkami - 3338. Nauczyciel kontraktowy zarabiać ma średnio 3700 złotych brutto, mianowany 4806, a dyplomowany 6141. Biorąc pod uwagę strajk kwietniowy i to ile nauczyciele na nim stracili, sadzę, że tym razem, o ile w ogóle dojdzie do protestu, to będzie on miał inną formę. Gminy takie jak nasza, spośród wszystkich należnych nauczycielom w toku pracy elementów wynagrodzenia, za czas strajku zmuszone były wypłacić im jedynie tak zwany dodatek wiejski.

- **Były jednak samorzady, które - nazywając rzecz po imieniu - ze względu na niechęć do rządzących na krajowym szczeblu deklarowały zapłatę za strajk w stu procentach. Takie zapowiedzi słyhać było w Łodzi czy choćby w Warszawie. Nasz samorząd nie był aż tak „hojny”?**

- Z tego wynika, że nie.

- **Na koniec coś optymistycznego - w imieniu Czytelników i własnym gratuluję sukcesu, jakim okazało się utworzenie w gminie liceum. W tym roku zorganizowano tam sześć klas pierwszych, a liczba chętnych pozwoliłaby na rozpoczęcie nauki w dziewięciu takich klasach. Co legło u podstaw powodzenia tej szkoły? I choć prozaiczne, pytanie bardzo na czasie - czy liczba nowo otwartych klas nie spowoduje, że szkoła zmuszona zostanie do pracy na kilka zmian?**

- Nic takiego liceum nie grozi. Wygasłe gimnazjum dysponowało solidnym zapleczem. Poza tym w tym roku - po zmianie lokalizacji gabinetu dyrektora szkoły i sekretariatu - do dyspozycji uczniów i nauczycieli przekazano dwa dodatkowe pomieszczenia. A co do popularności szkoły... Można by obstawać przy twierdzeniu, że liczba chętnych, którzy zgłosili swój akces do nauki w naszym LO, to prosta pochodna faktu, że w tym roku do szkół średnich zgłaszali się uczniowie z dwóch roczników. A jednak placówka w Wiśniowej Górze jest jedyną w powiecie łódzkim wschodnim, w której utworzono aż sześć klas pierwszych! Pyta pan o przyczyny sukcesu... Skoro mówimy o otwartym tekstem, powiem wprost - najpierw była odwaga władz gminy, które w małej wiejskiej społeczności odważyły się powołać liceum do życia. Reszta należała do nauczycieli. Wydaje się, że w tej szkole oni żyją tym, co robią, a to przekłada się na wynik. Po prostu.

- **Kropka „nad i” będzie przyszłoroczna matura. Wtedy ostatecznie okaże się jak jest naprawdę. Dziękuję za rozmowę.**

K.S.

Było gorąco...

Swoje zobowiązania traktujemy serio. Zainspirowani listem jednego z Czytelników, w czerwcowym numerze miesięcznika obiecaliśmy Państwu, że postaramy się wyjaśnić, dlaczego podczas letnich upałów temperatura w nowo wybudowanym pawilonie szkoły w Wiśniowej Górze powodowała, że - jak napisał nasz Czytelnik - „W klasach zwyczajnie jest tak duszno, że dzieci i nauczyciele przysypiają (...).”

Reprezentujący występującą w roli inwestora gminę pracownicy UG o wyjaśnienie ujawnionych już na początku eksploatacji budynku dysfunkcji zwrócili się do grona specjalistów z łódzkiej politechniki, którzy krok po kroku przeanalizowali sprawność działania zainstalowanego w obiekcie systemu wentylacyjnego. Cóż się okazało? - system działa tak, jak go zaprojektowano. Problem natomiast w tym, że w układzie wmontowano urządzenia grzewcze, a nie uwzględniono chłodzących. Pasywny - hermetyczny niczym termos - budynek, w którym z zasady nie można otwierać okien, według projektu miał być wystarczająco schładzany powietrzem nadmuchiwany z zewnątrz.

W gminie nie mamy doświadczeń w budowie budynków pasywnych. Zasady projektowe,

które zdają egzamin w normalnych warunkach atmosferycznych, okazały się zawodne w trakcie upalnego lata. Tym bardziej gdy, tak jak w nieprzenikliwym pawilonie szkolnym, jego wnętrzu przez wiele godzin dziennie ogrzewa blisko trzysta czterdzieści „żywych piecyków” - emanujących temperaturą 36,6 °C dzieci i nauczycieli. Rozwiązaniem problemu będzie najpewniej wmontowanie za zgodą wykonawcy - by nie uchybić udzielonej przez niego gwarancji - w system wentylacyjny szkoły urządzeń chłodzących. Kiedy przygotowywaliśmy ten tekst do druku, w gronie fachowców trwały także dyskusje, czy nie zaizolować dodatkowo istniejących na dachu budynku blaszanych kanałów, którymi gorące latem powietrze transmitowane jest do ciągu wentylacyjnego obiektu. Chodzi o to, by uniknąć ewentualności dodatkowego nagrzewania się powietrza w kanałach.

Na początku mijającego miesiąca inwestor prowadził z projektantem i wykonawcą pawilonu rozmowy o tym, czy i jaki rodzaj urządzeń chłodzących zainstalować w centrali wentylacyjnej budynku i jak to zrobić, by wprowadzając do systemu nowe elementy, nie stracić uprawnień gwarancyjnych. Według zapewnień przedstawicieli Urzędu Gminy, do pojawienia się w przyszłym roku kolejnych upałów problemy z temperaturą w pomieszczeniach szkolnych mają być definitywnie rozwiązane. K.S.

REKLAMA



**REMONT
STUDIO**

FARBY TYNKI NARZĘDZIA KLEJE

Wszystko czego potrzebujesz gdy się remontujesz!

KRASZEW, UL. ROKICIŃSKA 54
TEL. 723 666 060 / biuro@remontstudio.pl

- Farby akrylowe, lateksowe, ceramiczne
- Mieszalnik farb i tynków zewnętrznych
- Włoskie tynki dekoracyjne
- Impregnaty do drewna, farby do metalu
- Artykuły malarskie
- Narzędzia
- Systemy zamocowań, wkręty, śruby
- Gipsy, szpachle akrylowe
- Kleje, fugi, silikon
- NOWOŚĆ - Panele elewacyjne - forma deski





„Twoje serce jest tam, gdzie twój skarb. Musisz odnaleźć ten skarb, aby wszystko nabrało sensu”. Tak w swojej powieści „Alchemik” cel ludzkiej drogi próbował określić brazylijski pisarz i poeta Paulo Coelho. Później, w innej książce, dodał: „Życie ma sens tylko wtedy, gdy mamy u swego boku kogoś, kto odwzajemnia uczucia”.

Pięćdziesiąt lat temu razem - jedno u boku drugiego - przez życie postanowili iść mieszkający dziś w naszej gminie państwo: Zdzisława i Ryszard Andrzejczakowie, Janina i Zygmunt Barcikowscy, Urszula i Tadeusz Bartczakowie, Lucyna i Kazimierz Bednarkowie, Barbara Wawrzonowska-Broda i Jan Broda, Barbara i Tadeusz Czernek, Helena i Władysław Gabara, Wiesława i Tadeusz Gierachowie, Henryka i Jan Gorzelowie, Janina i Henryk Kaczmarkowie, Władysława i Czesław Kisielowie, Irena i Czesław Krakowiakowie, Danuta i Grzegorz Kurenko, Nina i Kazimierz Kurowsky, Eugenia i Edward Kwiatkowsky, Anna i Ryszard Lewy, Krystyna i Ryszard Marko, Barbara i Michał

Jedno serce i dusza

Miś, Jadwiga i Tadeusz Mitelsztet, Barbara i Stanisław Niedzielscy, Alicja i Zbigniew Niedzwiecy, Ewa i Piotr Nyk, Czesława i Józef Otoccy, Bogdana Wojciechowska-Ożarek i Zenobiusz Ożarek, Jadwiga i Czesław Pietrzakowie, Barbara i Tadeusz Porada, Janina i Kazimierz Przybyła, Genowefa i Bronisław Rozniewie, Bożena i Władysław Sadowy, Anna i Edward Sadura, Zofia i Nikodem Sobczyk, Krystyna i Stanisław Sobolewscy, Jadwiga i Władysław Szewczykwie, Danuta i Henryk Świderkowie, Janina i Mieczysław Walczakowie, Barbara i Jan Żuraw.

Jeszcze wcześniej, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku, małżeństwa zawarli państwo: Janina i Eugeniusz Banachowie, Alicja i Bronisław Otoccy, Helena i Jan Piotrowscy, Teresa i Henryk Potakowsky, Halina i Leon Przygodzcy, Maria i Jan Roman Rutkowsky.

Tydzień temu wszyscy mieli okazję, by na zaproszenie władz gminy wspólnie świętować w Andrespolu niepowtarzalne rocznice. Dwudziestego września do Domu Seniora przyszła większość. Były powinszowania, kwiaty i pamiątkowe upominki od organizatorów gali. Jubilatów obchodzącym złote gody wójt Dariusz Kubus w imieniu Prezydenta RP wręczył Medale za Długoletnie Pożycie Małżeńskie. Rozświetlone diamentową aurą pary obchodzące sześćdziesiąt lat związku uhonorowano podpisanymi przez wójta i przewodniczącę

go Rady Gminy Jana Woźniaka dyplomami z gratulacjami oraz życzeniami pomyślności i szczęścia. Potem przyszedł czas na szampana, gromkie „Sto lat” i porywające do tańca latynoskie standardy w wykonaniu dwójki mariachi. Śpiewem bawił gości też bywalec nie tylko łódzkich scen Tadeusz Urbański. „Moja mała blondyneczka” niejednego z roztańczonych panów przeniosła w czasie w świat pierwszych miłosnych uniesień.

Dołączając się do życzeń i gratulacji, dodajmy swoją puentę. Z pewnością historia małżeństw i zespalającej je miłości wielu par, które uświetniły swą obecnością wrześniową uroczystość w Andrespolu, jest równie frapująca jak opowieści o uczuciach, które prezentujemy niżej. Dziesiątki lat wspólnej wędrówki dowodzą głębokiej prawdy zawartej w słowach zmarłego ćwierć wieku temu francuskiego kardynała Gabriela François Marty'ego: „Miłość małżeńska nie jest prostym dodaniem dwóch różnych miłości: miłości męża i żony, ale jest jedną miłością, którą żyją dwie osoby i która sprawia, że stają się jednym ciałem, ale nade wszystko jednym sercem i jedną duszą.”

K.S.



Rowerem po szczęście

Nie chcieli żyć na kocią łapę, a ze ślubem czekać musieli aż trzy lata. Nie było warunków - pieniędzy na wesele. Dopiero w pięćdziesiątym dziewiątym się udało. Do dziś na tę myśl pan Leon się uśmiecha. Halinka od pierwszej chwili bardzo mu się spodobała. Chciał się z nią żenić jak najszybciej.

Poznali się dzięki Kasi - siostrze Leona - koleżance Haliny. To Kasia zapytała kiedyś brata wprost: - A nie chciałbyś poznać Halinki? Pewnie, że chciał. Miała piękne, długie, ciemnoblonde włosy... Zaraz po pierwszym spotkaniu zaprosił ją na zabawę do strażnicy. Grali „Wiśniowy sad”, „Na Francuskiej”... - największe szlagiery ich młodych lat, przy których fajnie im się tańczyło. Odprowadzając ją do domu, po tej zabawie w Wiśniowej Górze po raz pierwszy ją pocałował.

Halinie Leon też od razu przypadł do gustu - spokojny był, pijany nie chodził jak niektórzy. Cieszyła ją, kiedy z rowerem czekał na nią pod stacją w Bedoniu, gdy po drugiej zmianie w łódzkiej szwalni wracała pociągiem do domu. Brał ją na ramię i wioził na Tuszyńską. Myślał wtedy: „Jak będzie moją żoną, to już zawsze będę ją miał przy sobie”. Ślub brali w Bedoniu. Po skromnym weselu zamieszkali u jej siostry w Wiśniowej Górze. Wkrótce Irena wyprowadziła się do męża i Przygodzcy na pięćdziesiąt metrów komunalnego - od siedmiu lat już własnego - mieszkania zostali sami. Są tam do dziś.

Pierwsza urodziła się Ewa i to były najszczęśliwsze dni ich wspólnego życia. Potem znów była córka - w sumie mają je trzy - i mąż pomyślał, że musi walczyć o chłopaka. Udało się - czterokrotnie. Przy siódemce dzieci tyle radości, co zmartwień. Pani Halina była szwaczka,



Halina i Leon
Przygodzcy

potem miała chałupnictwo, pan Leon pracował fizycznie. Najpierw w łódzkiej fabryce papierosów, później w browarze przy Orlej. Ciężko było. Z troską myślał o tym, żeby rodzinie żyło się jak najlepiej, żeby dzieci miały co jeść. Brał nadgodziny. Nie było czasu na nudę. Jak w każdym małżeństwie, także im zdarzały się sprzeczki. Przed zachodem słońca zawsze jednak już rozmawiali. W życiu małżonków - jak mówią - najważniejsze jest zrozumienie, przebaczenie i to, aby umieć uszczęśliwić drugiego człowieka - jak na przykład mąż lubi dobrze zjeść, upić się coś smacznego.

Dziś Przygodzkim dni płyną w spokoju. Prócz siedmiorga dzieci, mają dwadzieścioro jeden wnuków i jedenaścioro prawnuków. Jest się kim cieszyć. Mają coś jeszcze - oparcie w tradycji i wiarę. Kiedyś - jak próbuje to przedstawić pan Leon - rzeczy się kupowało. Zepsute naprawiało. Teraz się takie wyrzuca. Tak samo jest we współczesnych małżeństwach. Gdy żyje się tak jakby Boga nie było, ludzi traktuje się jak rzeczy.

Zespalająca tęsknota

Drzewa poddawane wichrom stają się mocniejsze. Bolało go, że jadąc na studia do Niemiec, żonę musiał zostawić samą w Janówce. Bez żadnego zabezpieczenia - głodno i chłodno. Studia Romana we Freibergu były jednak ich wspólną decyzją. W Marysi była wielka tęsknota, ale bardzo męża kochała i chciała, aby - studiując kierunek jakiego w Polsce nie było - mógł się zawodowo rozwijać.

Oboje są chemikami i to właśnie chemia ich zbliżyła. Poznali się młodo, mając po dziewiętnaście lat. W pięćdziesiątym ósmym oboje pracowali w laboratorium badawczym Zakładów Przemysłu Skórzanego w Jedlinie-Zdroju. Ona przyjechała tam za pracą z rodzinnego Sieradza, on z Jordanowa. Od pierwszej chwili jej delikatna uroda zrobiła na nim duże wrażenie. Długi do pasa warkocz widział niemal we śnie... Energiczny, przystojny i miły kierownik laboratorium - przyszły mąż - umiał skupić na sobie Marysi uwagę. W grudniu pięćdziesiątego dziewiątego w Jedlinie państwo Rutkowsky wzięli ślub cywilny, rok później w Sieradzu kościelny. Po kolejnych dwóch latach dostali pracę w Łodzi i przenieśli się do Janówki. Po śmierci taty Romana stał tam niewykończony przez ojca dom. Właśnie w tym dużym pustym budynku, w jedynej zadatnej do użytku izbie, Maria samotnie zamieszkała, kiedy Roman rozpoczął za granicą naukę.

Przez cztery lata do Polski przyjeżdżał tylko trzy, cztery razy w roku. Było w nich wówczas wszystko, co w duszy młodych, rozłączonych małżonków może się kłębić: miłość, tęsknota, zazdrość i lęk - również o to, że co przeżyć do pierwszego. W początkowych latach po ślubie cieniutko było z pieniędzmi. Różnie z tęsknotą.



Maria i Roman
Rutkowsky

Roman leczył ją zaufaniem do żony. Często pisał listy, ale Maria od czasu do czasu trzymała się myśla, że mąż przygada sobie jakąś Niemkę. Dobrze, że w biurze projektowym, gdzie pracowała, było obok niej grono życzliwych osób, zwłaszcza sporo starsza kierowniczką, która w spokojnych rozmowach umiała Marię pocieszyć i wytłumaczyć, by nie dała się ponieść szaleństwom niezamężnych koleżanek. Miała rację. Roman w końcu wrócił i został najpierw asystentem dyrektora naukowego, a kilka lat później - po obronionym doktoracie - kierownikiem zakładu badawczego przy łódzkim Instytucie Przemysłu Skórzanego.

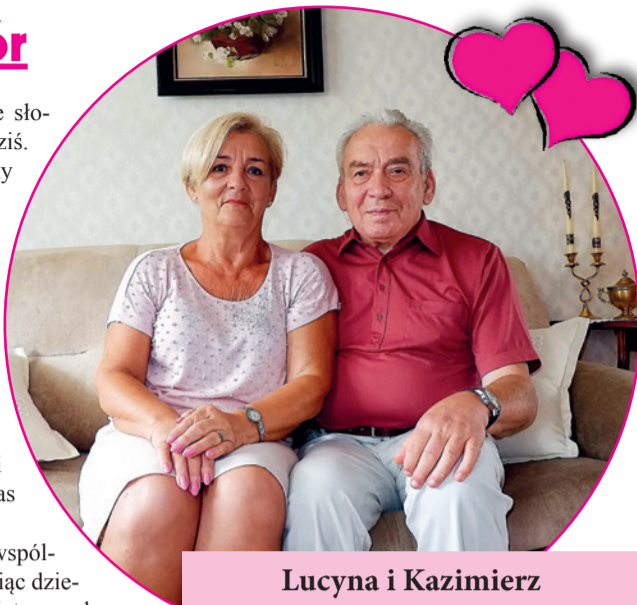
Finansowo na wiele już mogli sobie pozwolić, ale najważniejsze było to, że wreszcie są razem. I to na przykład, że któreś jesieni siedemdziesiątych lat jechać mogli do Zakopanego i we wrześniu, tuż pod szczytem Giewontu, zobaczyć świeżutki śnieg. Tamta biel, tamta jesienna miłość do siebie i gór pozostanie w nich zawsze. Miłość jest radością życia, która sprawia, że z biegiem lat ludzie się zrastają.

Dobry wybór

Kiedy pani Lucyna czyta te słowa, łzy szczęścia płyną do dziś. „W nagrodę za trud poniesiony przy urodzinach małego przyjmij tę kartkę od kochającego męża. Łódź 15 XI 71 r.”. Narodziny Przemka były najszczęśliwszym momentem w ciągu pięćdziesięciu lat małżeństwa Bednarków. Tak jak dziś mieszkali wtedy w Bedoniu, ale syn urodził się w łódzkim szpitalu - w mieście, gdzie pani Lucyna i pan Kazimierz wówczas pracowali.

Tam się także poznali. U wspólnych znajomych, w kwietniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku. Już w pierwszej chwili pomyślała: - Znam skądś tego pana.... Tak, to był nauczyciel z pomaturalnej, dwuletniej łódzkiej Państwowej Szkoły Technicznej, do której Lucyna chodziła. Ten sam, który jakiś czas wcześniej podszedł do niej na szkolnym korytarzu i zapytał, czy nie pożyczylaby mu zeszytu od maszynownictwa... Oboje byli wtedy dorośli, ale wciąż młodzi - ona miała ledwie dwadzieścia jeden lat, on był o sześć lat starszy.

O takich jak pan Kazimierz - absolwent łódzkiej politechniki - mówi się dziś: „pracoholik”. Zawsze taki był. Niemal od ukończenia studiów do emerytury zwykle pracował od rana, ale i po południu - w różnych szkołach wieczorowo wykładał przedmioty techniczne. Kiedy poznał przyszłą żonę, stać go już było na własny samochód. Wartburgiem 1200 zabrał ją więc nad jezioro do Ślesina na pierwszą randkę. Był opiekuńczy i czuły. I miał coś jeszcze, co szczególnie przykuwało dziewczęcą uwagę - ładne, zadbane dłonie. Lucynę, która nie była z tych, co to po zabawach latają, zawsze interesowali starsi, poważni mężczyźni. W tamtych



**Lucyna i Kazimierz
Bednarkowie**

latach równolek znaczyło dla niej gówniarz, a o Kazimierzu koleżanki z klasy z zazdrością poszeptowały, że fajny facet... Po wspólnym wakacyjnym wyjeździe nad morze nie miała wątpliwości - Kazimierz to idealny kandydat na męża. Po co dalej chodzić?

Ślub wzięli kilka miesięcy od pamiętnego wieczoru u znajomych. Na Boże Narodzenie sześćdziesiątego dziewiątego. Osiem lat mieszkali u jej rodziców w Bedoniu przy Głównej. Później mogli zamieszkać w Łodzi, ale zdecydowali, że dokończą rozpoczętą przez rodziców Kazimierza budowę domu w rodzinnej wsi i tam pozostaną. Dziś wiedzą, że to był dobry wybór. Tak jak i wybór wspólnej życiowej drogi. Małżeństwo - jak mówi pani Lucyna - nabiera wartości po latach. A małżeńskie szczęście składa się z miłości, przyjaźni, namiętności i szacunku. Według Bednarków, małżeństwa bywają nieszczęśliwe nie z braku miłości, ale przyjaźni. Oni żyją szczęśliwie - z dnia na dzień, a co dzień niedziela.

Nie z tego świata

Miłość się przeobraza - na początku spontaniczna i gorąca, później się uspokaja. Tamtej wiosny, kiedy mieli po dwadzieścia dwa lata, Władysława bardzo była zakochana. Czesław był przystojny, umiał zagadać, rodziców zbajerować. Miał długie włosy i junaka, który warczał tak, że kiedy pierwszy raz z rodzinnej Woli Rakowej przyjechał do niej do Kalinowa, cała wieś na drogę wyszła. Jemu też Władysława od razu wpadła w oko - zadbana modnisią po technikum odzieżowym i szkolnych praktykach w łódzkiej „Telimienie”. Uroczą, ale rozważną.

Poznali się na zabawie w remizie, w jej wsi, w maju sześćdziesiątego dziewiątego roku. W listopadzie Kisielowie byli po ślubie. Kiedy latem po raz pierwszy rodzicom Władysławy powiedzieli o swych zamiarach, jej ojciec podszedł do sprawy bez emocji: - No, jak musicie, to musicie... Nie musieli - Monika urodziła się w siedemdziesiątym pierwszym. Chcieli. Ich miłość chciała.

Zanim w latach siedemdziesiątych postawili dom w Andrespolu, po ślubie wynajęli mieszkanie w Wiskitnie. Oboje pracowali w Łodzi. Ona w Zakładach Przemysłu Dziewiarskiego im. Pawła Findera - a później w „Telimienie” - on był pracownikiem cywilnym w jednostce wojskowej. Często wyjeżdżał w delegacje i kiedy wracał, bolała ją, że więcej czasu poświęca dzieciom niż jej. Były ciche dni, ale i takie, kiedy - jak ze spokojem dziś wspominają - „siekiery latały”. Czesław się później obraził i to Władysława zwykle pierwsza wyciągała rękę do zgody. Miała swój sposób. Zwykle ten sam: - Weźmiesz się za jakąś robotę - mówiła - czy nie!? Zawsze skutkowało, bo według pana Czesława w małżeństwie oprócz miłości ważna jest tolerancja i zrozumienie.



**Władysława i Czesław
Kisielowie**

Ważne by być razem nawet w chwilach, kiedy zadawany przez życie ból obezwładnia. W dwa tysiące dziesiątym roku dowiedzieli się, że Czesław ma raka. Władysławę psychicznie to rozłożyło. Rodzicami musiała się zająć córka. Wtedy okazało się, czym w ludzkim życiu są rodzinne więzi. Stało się jasne, ile prawdy jest w słowach Władysławy, że na ich wspólnej drodze z Czesławem najważniejszymi są Bóg i rodzina. To dzięki wstawianictwu Matki Bożej Gidelskiej - w co bardzo wierzą - po dwóch operacjach pan Czesław wyzdrowiał. Dzięki corocznym wyjazdom do kościoła dominikanów w Gidlach, gdzie znajduje się maleńka - zaledwie dziewięciocentymetrowa - kamienna figurka Matki Bożej z Dzieciątkiem i codziennym modlitwom już po czterech chemiach zdrowemu panu Czesławowi onkolog oświadczył: - Pan jest nie z tego świata...

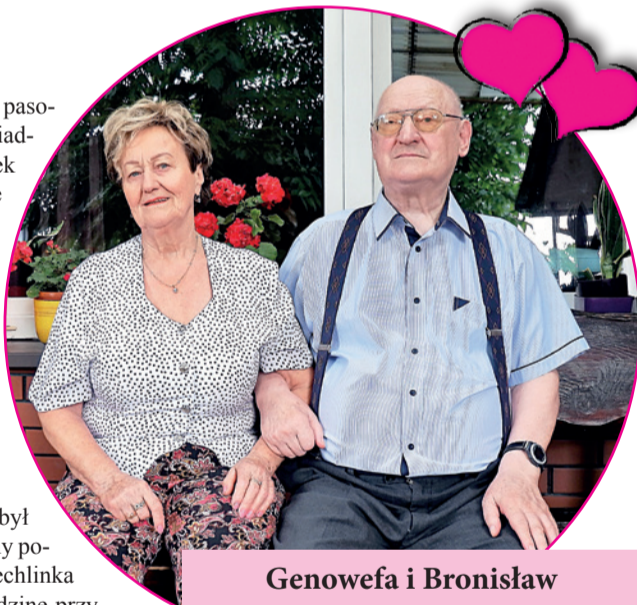
Bóg i rodzina - w tym dziś Kisielowie upatrują recepty na szczęście.

Droga

Długo żaden pan jej nie pasował, ale kiedy Broniek w oświadczeniu dał jej duży pierścionek z rubinem, Genia pomyślała, że wreszcie się zakochała. Miała dwadzieścia siedem lat. On był o rok starszy. Stateczny, niepijący i widać było, że myśli. Także pan Bronisław tamten dzień uważa za najpiękniejszy. Wtedy po raz pierwszy powiedziała, że go chce. Nie że tylko teściowa, ale i ona - ta jedyna, którą sobie upatrzył.

Z przyszłą teściową od razu był w dobrej komitywie. Obie rodziny pochodziły z jednej parafii - z Żelechlinka pod Rawą. Pani Janina знаła rodzinę przyszłego zięcia i jego samego z najlepszej strony. Jeszcze przed wojskiem, zaradny i ponad wiek dojrzały Bronisław wyjechał do Katowic do pracy. Miesięcznie na rękę brał cztery tysiące. Gdy w sześćdziesiątym szóstym przeniósł się do firmy w Łodzi finansowo był niezłe ustawiony. Kiedy więc kolejny raz WSK-ą pojechał na wieś do Geni, teściowa powiedziała mu wprost: - Nie, nie będziecie chodzić. Masz wziąć najlepszych muzykantów i się żenić! Tak zrobił. Ślub wzięli w sierpniu sześćdziesiątego dziewiątego, trzy miesiące po zapoznaniu. To było pamiętne wesele - na okolicznych polach stały kopki zboża i wielu młodych tamtej nocy w te kopki szło. Wiele par w trakcie tego wesela na trwałe się zmówiło.

Po ślubie Roznerowie zamieszkali w wynajmowanym przez Bronisława mieszkaniu w Janówce. Zaraz jednak na kupionej przez niego wcześniej działce w Justynowie zaczęli stawiać dom. Wkrótce przenieśli się tam do jednego nie całkiem jeszcze wyszykanowanego pokoju. Liczył się czas i pieniądze. Młodzi nie chcieli dłużej tkwić na komornym.



**Genowefa i Bronisław
Roznerowie**

Ta budowa to najtrudniejszy czas w ich życiu. Żadnych materiałów nie można było tak po prostu kupić, większość trzeba było załatwiać... Były dni, kiedy pani Genowefa miała dość. Namawiała męża, by rzucić to wszystko i w Łodzi kupić mieszkanie w blokach, ale Bronisław nie ustępował. Przekonywał, że dadzą radę. Zawsze był zaradny i miał dryg do handlu - swoim sposobem kupował jakoś materiały budowlane. Część zostawił sobie, część sprzedawał. Zarabiał. Tak jak kilka lat później, gdy w Łodzi przy Rzgowskiej - a potem na Bałuckim Rynku - handlował chlebem, by w centrum Justynowa postawić sklep.

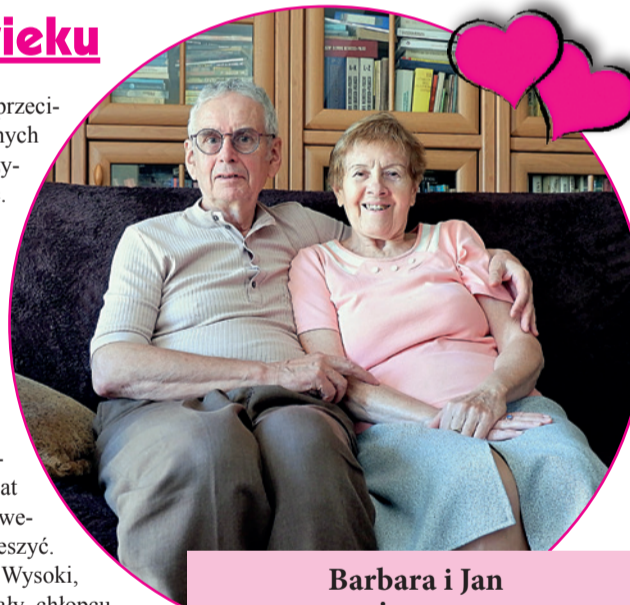
Po latach pani Genowefa wie, że w najtrudniejszych chwilach ich związku mąż był zawsze przy niej i zwykle to on miał rację. I ma ją i teraz, kiedy mówi, że w małżeństwie decyzje muszą być wspólne. Nie to, że jedno w lewo, a drugie w prawo. Jedno musi ustąpić. Dziś wiedzą oboje, że ludzie dopasowują się całe życie. Że małżeństwo jest drogą, po której cały czas kobieta i mężczyzna uczą się iść razem.

Co ćwierć wieku

Choć dobrali się na zasadzie przeciwności, od lat nie mają już „cichych dni”. Zgodnie z uśmiechem przyznają, że kiedyś trzeba zmądrzeć. Po tym co ich w życiu spotkało, niewiele lepiej od nich wie, że małżeństwo równie silnie jak miłość umacniają niekoniecznie wesołe przejścia.

Pierwsze lata znajomości upływały im w rytm bigbitu. Oboje łodzianie od pokoleń, spotkali się w XXV LO na Łęczycyckiej. Mieli po szesnaście lat i różne charaktery. Barbara była wesoła, beztraska, potrafiła się cieszyć. Jan od razu wpadł jej w oko. Wysoki, przystojny... Okulary przydawały chłopcu powagi. Od pierwszej chwili zaimponował Basi spokojem. Początkowo łączyło ich jedno - klasowe prywatki. Czerwono-, Niebiesko-Czarni i ten powiew dziecięcych jeszcze prawie emocji, który szybko kazał Jankowi przyznać, że Basia to jego pierwsza miłość.

Na drugim roku studiów - na matematykę na UŁ zdecydowało się jedno i drugie - na jakiś czas się rozstali, ale według Jana iskierka wciąż się tliła. Wystarczyło podmuchać i na trzecim, czwartym roku znów byli razem. Po ślubie w łódzkim kościele św. Anny - w sześćdziesiątym dziewiątym, jeszcze podczas studiów - zamieszkali z jego mamą na szesnastu metrach kwadratowych łódzkiej komunalki, gdzie jedynym dostępnym w mieszkaniu medium był prąd. Swą miłość na tej darowanej przez ludowe państwo przestrzeni starali się chronić za pomocą ustawionego w roli przepierzenia kredensu. Nie mogli niczego zmienić. Nie mieli pieniędzy, zarabiali niewiele. Ona po studiach została nauczycielką, on w łódzkim ZETO, w Zakładzie Elektronicznej Techniki Obliczeniowej, miał czterysta złotych więcej od żony. To wszystko - mieszkanie, pieniądze - nie



**Barbara i Jan
Żuraw**

miało jednak znaczenia. Najważniejsi dla państwa Żuraw byli oni sami. Jan i Barbara potrafili się cieszyć sobą.

Początek lat siedemdziesiątych był przełomowy. Dostali wymarzone bloki, a nieco później urodziła się Joasia. Według Jana, co ćwierć wieku życie niesło im zmiany. Córka przyszła na świat, kiedy mieli po dwadzieścia pięć lat. Kiedy mieli po pięćdziesiąt, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym, sprzedali łódzkie mieszkanie i przeprowadzili się do wykupionego w Stróży bliźniaka. Jan chciał być blisko natury. Dosić miał Łodzi, w której dwa lata wcześniej przeżyli dużą tragedię. Pani Barbara nie chciała jednak wyjeżdżać z miasta. Jej mąż uważa, że - jak już się jej w życiu zdarzało - upierała się dla samego uporu. On zaś jak zwykle sprawy nie stawiał na ostrzu noża. Spokojnie tłumaczył, sięgając po kolejne argumenty. Tak ma z natury i pewnie dlatego pani Barbara twierdzi, że najpiękniejsze co ich w życiu spotkało, to pięćdziesiąt siedem wspólnych lat.



Obawy i fakty

W Wiśniowej Górze znów zawrzało. Na przełomie lipca i sierpnia stu mieszkańców sołectwa skierowało do wójta listy, w których przeczytać można między innymi: „My niżej podpisani mieszkańcy Wiśniowej Góry wyrażamy ponowny, kategoryczny sprzeciw wobec planów budowy stacji bazowej telefonii cyfrowej w Wiśniowej Górze (...)”. Obawiając się wpływu pola elektromagnetycznego na ludzkie zdrowie, adresaci jednego z listów pytali: „Kto weźmie odpowiedzialność za osoby z rozrusznikiem serca, kobiety ciężarne, osoby starsze?”. Dwudziestego ósmego sierpnia, w złożonym w sekretariacie wójta oświadczeniu, mieszkańców wsparł w tej sprawie sołtys Paweł Garnys i miejscowa Rada Sołecka. Grono to sugeruje, że kolejny maszt telefonii komórkowej w zamieszkiwanej przez nich okolicy powstać powinien w lesie, tuż za granicą sołectwa.

Sprawa - z przerwami - ciągnie się od trzech lat. W dwa tysiące szesnastym roku przedstawiciel operatora telefonii komórkowej T-Mobile po raz pierwszy poinformował władze gminy o zamiarze budowy w tym sołectwie stacji bazowej - masztu swej sieci - na będącej własnością jednego z łodzian, niezamieszkałej działce przy ulicy Zagajnikowej 1. Wówczas mieszkańcy także protestowali. Powiedzieć trzeba od razu, że w naszym kraju udział społeczności lokalnych - zamieszkujących obszary, na których operator komórkowy chce postawić maszt

- w procesie decyzyjnym odnoszącym się do tych kwestii praktycznie nie istnieje. Gminne władze samorządowe wydają jedynie tak zwane decyzje środowiskowe, które operatorzy dołączają do wniosku o zgodę na budowę masztu. Zgody tej nie wydaje jednak rada gminy czy wójt, a starosta - po rozpatrzeniu opinii Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska. Chcą u siebie masztów czy nie, w istocie gminy mogą tylko postępowanie decyzyjne wydłużać.

Po kolejnych wezwaniach do uzupełnienia przez T-Mobile dokumentacji technicznej, w kwietniu dwa tysiące siedemnastego roku wójt - przed wydaniem decyzji środowiskowej - nałożył na potencjalnego inwestora obowiązek przeprowadzenia oceny oddziaływania tego przedsięwzięcia na środowisko. Wsparcia w tej kwestii udzielił nam Regionalny Dyrektor Ochrony Środowiska. Wszystko - przewidziane prawem konsultacje i zabiegi o opinie kompetentnych instytucji - przebiegało zgodnie ze stosowną ustawą. Niestety, dwa lata temu w czerwcu - wskazując na odnalezienie w dokumentacji rozbieżności formalne - Samorządowe Kolegium Odwoławcze w Łodzi uchyliło zaskarżone przez operatora postanowienie wójta. Od tej decyzji gmina odwołała się do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego i po przegranej również w tej instancji wystąpiła o kasację wyroku do NSA. Bezskutecznie. W grudniu dwa tysiące siedemnastego roku Naczelny Sąd Administracyjny stanął po stronie T-Mobile.

Na ponad rok zapadła cisza. Dopiero w kwietniu bieżącego roku operator ponownie zwrócił się do wójta o wydanie decyzji środo-

wiskowej w sprawie masztu przy Zagajnikowej. W czerwcu pełnomocnik T-Mobile przysłał nam w tej sprawie ponaglenie. I znów - tym razem z naszej inicjatywy - w sprawę zaangażowane zostało Samorządowe Kolegium Odwoławcze. Mocą jego orzeczenia z osiemnastego lipca bieżącego roku decyzję środowiskową wójt wydać musi do trzydziestego października. Jakkolwiek nie byłaby to trudna decyzja, jakiej wagi nie przykładają by do protestu mieszkańców - i faktu, że na terenie Gminnego Ośrodka Sportu i Rekreacji istnieje już w tym sołectwie maszt - na tym nasza rola się kończy. Tym bardziej, że w swym lipcowym orzeczeniu SKO zarzuciło nam przewlekłe postępowanie w sprawie.

Aktualnie istnieje w gminie pięć masztów telefonii komórkowej. Niestety, stacja bazowa w Wiśniowej Górze to nie jedyny problem w tym obszarze, z którym przychodzi się nam obecnie zmierzyć. Wiosną T-Mobile wrócił też do kwestii budowy masztu w Janówce. Także tam sprawa ma swoją historię. Dwudziestego siódmego listopada dwa tysiące siedemnastego roku również w tym przypadku przed wydaniem decyzji środowiskowej, zgodnie z prawem wójt nałożył na inwestora obowiązek przeprowadzenia oceny oddziaływania projektowanego masztu na środowisko. Także w odniesieniu do tej lokalizacji operator odwołał się do Samorządowego Kolegium Odwoławczego, ale tym razem w SKO przegrał. Odnosząc się do faktu, że w Janówce istnieje na możliwość zdalnego sterowania kątem nachylenia anten oraz do prezentowanej w tej mierze przez operatora dokumentacji technicznej, kolegium

stwierdziło, że - cyt.: „(...) istnieje wątpliwość co do oceny informacji zawartych w karcie informacyjnej przedsięwzięcia (...)”. Chodzi o dokument złożony w gminie przez T-Mobile wraz z wnioskiem o wydanie decyzji środowiskowej. Wobec zaistniałej sytuacji, SKO utrzymało w mocy decyzję wójta.

Perspektywa budowy stacji bazowej w Janówce przeciągnie się zatem w czasie. Czy jednak ostatecznie unikniemy w gminie - i w ogóle w kraju - budowy masztów? Czy da się żyć bez telefonów komórkowych i na ile te systemy rzeczywiście nam szkodzą? Pierwsze dwa pytania są retoryczne. Na trzecie nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Co jakiś czas pojawiają się w świecie raporty różnych instytucji badawczych - ostatnio włoskiego Ramazzini Institute - wskazujące mniej lub bardziej przekonywująco na związki promieniowania stacji bazowych z zachorowalnością na nowotwory. W nauce tak zwanego głównego nurtu autorów tego typu opracowań oskarża się o uprawianie „pseudonauki”. Na temat rzeczywistej szkodliwości telefonii komórkowej wiemy naprawdę mało. Światowa Organizacja Zdrowia w wydanym nie tak dawno oświadczeniu przyznała wprost, cyt.: „Badania wpływu telefonów komórkowych na zdrowie człowieka prowadzone są dwadzieścia lat. Jak dotąd nie ustalono na ich podstawie związku pomiędzy korzystaniem z telefonów komórkowych a uszczerbkiem na zdrowiu. Ryzyko związane z samymi stacjami bazowymi jest jeszcze mniejsze niż z telefonami”.

K.S.



Będzie się działo

*Prawdziwą uczcą dla melomanów będzie koncert, jaki za kilka dni w GOK zorganizują Filharmonia Łódzka im. Artura Rubinsteina wspólnie z Gminnym Ośrodkiem Kultury. W imieniu obu instytucji, 4 października na godzinę osiemnastą zapraszamy Państwa na koncert kameralny w wykonaniu jednego z najwybitniejszych polskich wiolonczelistów - laureata I nagrody na V Międzynarodowym Konkursie Muzycznym im. Nicanora Zabalety w San Sebastian w Hiszpanii - Tomasza Strahla oraz pianistki Agnieszki Przemyski-Bryły, zdobywczyni między innymi I nagrody na warszawskim Ogólnopolskim Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina, laureatki II nagrody na III Concorso Pianistico Internazionale „Andrea Baldi” we włoskiej Bolonii.

W programie utwory kameralne Fryderyka Chopina, Sergiusza Rachmaninowa, Johannes Brahmsa. Bezpłatne zaproszenia do odebrania w Gminnym Ośrodku Kultury w Wiśniowej Górze.

*19 października na godzinę osiemnastą Stowarzyszenie Osób Niepełnosprawnych - Galeria Artystyczna Łódź i Gminny Ośrodek Kultury zapraszają na koncert pod tytułem „Ocalić od zapomnienia”. Wystąpią znani łódzcy artyści

estradowi, którzy zabiorą Państwa w sentymentalną podróż w lata sześćdziesiąte, siedemdziesiąte i osiemdziesiąte. Ze sceny popłyną dźwięki największych przebojów ubiegłego wieku. W sali widowiskowej GOK zobaczymy, a przede wszystkim usłyszymy między innymi Bartka Grzanka z zespołem, zespół wokalny „Kolors”, grupę wokально-instrumentalną „Fraction”. Bilety w cenie piętnastu złotych do nabycia w GOK.

*Ruszył II Międzynarodowy Festiwal Muzyki Organowej i Kameralnej „Musica Perpetua”. 20 października o godzinie siedemnastej czterdzieści pięć w kościele parafialnym w Andrespolu odbędzie się drugi tegoroczny, festiwalowy koncert. Wykonawcami będą: Ewa Rzetecka-Niewiadomska - klawesyn i organy, Ewelina Agata Zawisłak - flet, Sławomir Cichor - trąbka, Hubert Niewiadomski - baryton. Koncert poprowadzi Elżbieta Stępnik. Wstęp wolny.

W przeddzień - w sobotę, 19 października - w godzinach między dziesiątą a trzynastą w salce parafialnej kościoła odbędą się bezpłatne warsztaty muzyczne dla dzieci i młodzieży.

W imieniu wszystkich organizatorów na każdą z zapowiedzianych imprez serdecznie zapraszamy. Będzie się działo.

W oczekiwaniu na minibusy

Słowo się rzekło, a mieszkańcy bywają niecierpliwi... Dwudziestego ósmego marca, na pierwszym po przyłączeniu do naszej gminy zebraniu wiejskim, mieszkańcy Zielonej Góry usłyszeli od wójta, że po zakończeniu remontu ulicy Rokicińskiej - kiedy związane z tą inwestycją kłopoty komunikacyjne będą już za nami - można będzie rozważyć możliwość uruchomienia między Zieloną Górą a stacją kolejową w Justynowie linii minibusów.

Remont łączącej nas z Łodzią ulicy jeszcze trwa, a już szóstego sierpnia sołtys Zielonej Góry Paweł Różga przekazał władzom gminy prośbę o, cyt.: „uruchomienie przez Gminę komunikacji, która umożliwi dojazd do najbliższej stacji kolejowej w Justynowie oraz do ośrodka administracji w Andrespolu”. Dla zielonogórczan sprawa naprawdę jest ważna - w swym piśmie sołtys zaprezentował wyniki niedawnej ankiety, jaką w tej sprawie przeprowadzono w sołectwie wśród stu jego mieszkańców, to znaczy wśród więcej niż ich jednej trzeciej. Okazało się, że dla 95,4 procenta ankietowanych uruchomienie zbiorowej komunikacji w Zielonej Górze jest „bardzo istotne”. Tylko jedna osoba odpowiedziała, że jest to przedsięwzięcie „zbędne”. Takiej proporcji trudno się dziwić - w przyłączonym do nas sołectwie nigdy nie było zbiorowej komunikacji, a według danych ankietowych, aż 33 procent żyjących tam ludzi do znacznie oddalonych przystanków działającej już w gminie komunikacji zbiorowej dociera piechotą!

Ze wstępnych analiz wynika, że Zielona Góra połączona może być z Andrespołem czterema parami kursów rano i czterema po południu. Trasą, na której usytuowane będą prawdopodobnie cztery przystanki, do centrum gminy minibusy kursować by mogły przez Justynów. Umożliwiłoby to oczekiwane połączenie sołectwa z tamtejszą stacją kolejową oraz dodatkowo ze szkołą. Ważne, że na nowej linii Zielona Góra - Justynów - Andrespol skorzystać będą mogli także mieszkańcy tej części Justynowa, którzy do tej pory do przystanku dochodzić muszą ponad kilometr.

Kiedy linia będzie uruchomiona? Marcowa deklaracja była jasna, ale kto wie - może zgłaszanym potrzebom uda się wyjść naprzeciw wcześniej. Władze gminy postanowiły wystąpić w tej sprawie do wojewody o dotację z budżetu państwa. Trzymamy kciuki...!

K.S.

REKLAMA

GRES-STYL
Twoja łazienka

Kompleksowe wyposażenie łazienek

95-020 ANDRESPOL, ul. Rokicińska 113
tel. 668 060 544 www.g-slazienka.pl

REKLAMA

SZCZEPANIAK
SKŁADY OPAŁOWO-BUDOWLANE

Najlepszy POLSKI WĘGIEL

Andrespol
ul. Brzezińska 7

42 213 24 50

www.skladyszczepaniak.pl

koszka orzech ekogroszek miał

Choppery i trajki

Na kilka dni Wiśniowa Góra kolejny raz stała się ogólnopolską stolicą motocyklistów. W dniach od pierwszego do czwartego sierpnia odbył się tam XXXII Międzynarodowy Zlot Motocykli. Do Gminnego Ośrodka Sportu i Rekreacji na motorach najprzedniejszych marek



i trójkołowych „trajkach” zjechało w tym roku ponad trzydziestu miłośników dwóch i trzech kółek z Polski, Anglii, Czech, Niemiec i Szwecji. Najstarszy - siedemdziesięciosześcioletni - uczestnik zlotu, po pokonaniu ośmiuset siedemdziesięciu kilometrów przyjechał do Wiśniowej Góry z Hamburga.

Doroczne zloty to nie tylko spotkania starych znajomych. To także wspólna zabawa, chwile

relaksu i integracja międzynarodowego środowiska. W pierwszy piątek minionego miesiąca motocykliści bawili się przy muzyce granej przez występujące na scenie zespoły.

W sobotę trzeciego sierpnia w paradnym szyku przejechali ulicami Andrespola, a później w ośrodku agroturystycznym w Buczku koło Brzezin - gdzie towarzystwo spędziło sobotnie popołudnie - odbyły się między innymi zawody, w których panie rywalizowały w siłowaniu na rękę, wbijaniu gwoździa na czas i konkurencji wytrzymałościowej polegającej na trzymaniu w dłoni jak najdłużej wypełnionej wodą kufła.

Motocykliści - jak deklaruje komandor zlotu Bogdan Skonieczka - także tym razem sympatycznie wspominać będą pobyt w naszej gminie. Zwłaszcza, że w GOSiR ich gośćmi pragnącymi przyjrzeć się wspaniałym maszynom było wielu z nas, a Urząd Gminy i w tym roku zadbał, by - w ramach sponsoringu i promocji gminy - wyposażyć uczestników zlotu w pamiątkowe koszulki. K.S.



Puchary

i słowa uznania

Władze związku nie szczędzą pochwał: „Wynik sportowy to jedno, a zaangażowanie na rzecz sportu oraz integracji lokalnej społeczności drugie. Drużyna Akademii złożona z chłopców urodzonych w dwa tysiące szóstym roku w czerwcu wygrała ligę, w której gra osiem najlepszych zespołów w województwie, a na terenie Gminnego Ośrodka Sportu i Rekreacji w Wiśniowej Górze - w miejscu, gdzie jeszcze dwa lata temu był niemal ugór - jest dziś boisko piłkarskie ze sztucznym oświetleniem” - tak w wypowiedzi dla naszej redakcji dorobek Akademii Piłkarskiej Andrespolia podsumował prezes Łódzkiego Związku Piłki Nożnej Adam Kaźmierczak.

Trzydziestego pierwszego sierpnia na boisku GOSiR trzem dziecięcym drużynom z Akademii prezes Kaźmierczak wręczył związkowe puchary. Satysfakcja ta spotkała oczywiście mistrzowską drużynę 2006, ale także młodych piłkarzy z rocznika 2008, którzy - tocząc boje z chłopcami o rok starszymi - okazali się najlepsi w swojej grupie łódzkiej ligi młodzików oraz futbolową ekipę złożoną z zawodników rocznika 2004, która u progu lata awansowała do II ligi wojewódzkiej. K.S.



W klubach, w GOSiR-ze i na „Orliku”

Niewiele powiedzieć można na początku sezonu o kondycji i formie naszych piłkarzy. W pierwszych sześciu meczach Andrespolia dwa razy wygrała, dwa razy zremisowała i dwa przegrała. W tym wysoko - 1:4 na własnym boisku - z Pogonią Zduńska Wola. LZS Justynów rozgrywki rozpoczął nieco później niż GLKS i choć pierwsze dwa mecze - z Włóknierzem Zgierz i Błękitnymi Dmosin - nieznacznie przegrał, to trzeci z LKS Gałkówek wygrał 6:0. Zwycięstwa, remisy i porażki - piłkarski miszmasz. Warto więc bliżej przyjrzeć się temu, co u progu jesiennej rundy stało się w klubach i czego w nowym sezonie można się po naszych zespołach spodziewać.

Podczas letniej przerwy Andrespolia przeżyła kadrową rewolucję. Z klubu odeszło trzech podstawowych zawodników: Igor Świątkiewicz oraz wypożyczeni do GLKS ze Sport Perfectu Szymon Szafoni i Michał Sumiński. Pierwszy przeszedł do aktualnego lidera IV ligi KS Kutno, z którym w sparingu przed rozpoczęciem rozgrywek drużyna Krzysztofa Kamińskiego przegrała aż 1:5. Wiele o sytuacji w Andrespoli mówi decyzja dwóch pozostałych zawodników. Jak pamiętamy, naczelną ideą umowy między Sport Perfectem a GLKS była promocja zawodników klubu Krzysztofa Kamińskiego w IV lidze i w efekcie ich korzystna - także dla Andrespolia - sprzedaż do któregoś z klubów wyższego szczebla piłkarskiej struktury. Niestety, wbrew oczekiwaniom nikt na odejściu Szafoniego i Sumińskiego nie zarobił złotówki. Obaj podziękowali Kamińskiemu za współpracę i w ogóle z piłki zrezygnowali. Ciężką, kiedy po raz pierwszy na umowie ze Sport Perfectem uda się Andrespoli wreszcie zrobić...?

Pytany o cel, jaki stawia piłkarzom tej jesieni, prezes Jacek Bartosik odpowiada, że na zakończenie rundy drużyna zajmować ma jedno z miejsc w pierwszej szóstce ligowej tabeli. Zapewnia przy tym, że trener intensywniej niż dotąd sięgać będzie po młodych piłkarzy z dwu drużyn młodzieżowych Andrespolia, po juniorów rocznika 2002-2003. Jacek Bartosik nie chce jednak mówić o konkretach. Którzy z młodych piłkarzy

klubu z Czajewskiego zagrają wśród seniorów, okaże się w trakcie rozgrywek. Dziś wiadomo na pewno, że prowadzona przez GLKS polityka kadrowa w tej mierze jest bardzo nieczytelna. W rundzie wiosennej spośród wychowanków Andrespolia w IV lidze przez zauważalne części meczów występowali: Mateusz Szkopiak, Krzysztof Felczak i Wiktor Wejman. Wiosną Krzysztof Kamiński wiele razy zapewniał nas w rozmowach, że w każdego z tych zawodników warto inwestować trenerskie wysiłki i każdego próbować. A na czym stało? - aktualnie w szerokim, osiemnastoosobowym składzie drużyny seniorów nie ma żadnego z nich.

Znaleźli się w nim za to nowi piłkarze: Mateusz Miasopust, Jakub Ryplewicz oraz Damian Ścioborek - tak zwani wolni zawodnicy, którzy bezpośrednio przed przyjściem do Andrespolia nie znajdowali miejsca w żadnym z piłkarskich klubów. Takie rozwiązanie i taka próba wzmocnienia zespołu to efekt wieloletniej polityki finansowej GLKS, która sprowadza się do oczekiwań adresowanych w kierunku budżetu gminy. Brak umiejętności skupienia wokół siebie grupy sponsorów powoduje, że klub albo pozyskiwać będzie mógł wyłącznie „wolnych zawodników”, albo zmuszony zostanie do jeszcze silniejszego niż dotąd uzależnienia kadrowego od Sport Perfectu. Jeśli uda się przy tym - tak jak zapowiada prezes Bartosik - pod koniec jesieni zająć jedno z czołowych miejsc w tabeli, kibicom z grona malkontentów pozostanie jedynie posypać głowę popiołem. Na razie - po sześciu kolejkach - GLKS w futbolowym rankingu zajmuje dziesiąte miejsce.

Po zakończeniu poprzedniego sezonu, w LZS Justynów nikt nie był zadowolony. Pozycja tuż za czołową trójką nie dawała satysfakcji. Zero punktów w meczach z drużynami z trzech pierwszych miejsc w tabeli traktowano niczym policzek. Wysokie zwycięstwa z ekipami z dołu ligowej klasyfikacji kibice traktowali jak piłkarski obowiązek swojego zespołu.

W tym sezonie miało być inaczej. I mimo że trzeci z rozegranych meczów - ostatni w mo-

mentie przygotowywania gazety do druku - LZS wygrał 6:0, dwa pierwsze spotkania kazały twierdzić, że sezon 2019/2020 w piłkarskiej A klasie rozpoczął się dla justynowian najgorzej jak mógł. Choć w sierpniu zarząd klubu ponownie obowiązki trenera powierzył Jakubowi Sapińskiemu - z którym działacze i kibice wciąż wiążą duże nadzieje - porażki na inaugurację rozgrywek w szeregach sympatyków klubu oraz samych piłkarzy wprowadzały spory niepokój. Przegrane bardzo boleły. Tym bardziej, że - traktując rzecz na chłodno - oba mecze można było przynajmniej zremisować. Na nieszczęście w żadnym z nich trener nie mógł skorzystać z kilku graczy, którzy mieli w drużynie pełnić ważne funkcje. Kontuzje dopadły Krzysztofa Pawlaka, Jaromira Bergiela, Adriana Rzepeckiego, Wojciecha Niżnikowskiego oraz młodego Dariusza Mizerę.

Walka o zwycięstwo w każdym meczu - niezależnie od klasy przeciwnika - to priorytet i cel, jaki przed drużyną stawia zarząd klubu. „Po cichu” także w tym sezonie działacze liczą na awans do okręgówki. Czy po zimnym przysnyciu z początku ligowych zmagani będzie trzeba plany skorygować? Czas pokaże. Przerwę między rundami drużyna intensywnie przepracowała i rozegrała serię sparingów. Trener mógł testować w nich różne warianty ustawienia drużyny i pracować nad stylem gry, który w meczach

o punkty okaże się optymalny. Porażki 1:3 z GLKS Dłutów, a także 1:7 z Jutrzenką Drzewica, remisy 2:2 ze Startem Brzeziny i 4:4 z Victorią Łódź oraz zwycięstwo 7:3 z LKS Gałkówek w próbie generalnej przed ligą nie przyniosły jednoznacznej odpowiedzi, na co stać LZS Justynów w nadchodzącym sezonie. Sporo do myślenia dała za to przegrana w Pucharze Polski 1:3 z B-klasowym Sokołem Popów... Jeśli w zmaganiach takiej rangi - i o takiej tradycji - przegrywa się z drużyną teoretycznie o klasę słabszą, to coś jest nie tak!

Czy to zapowiedź finału, w którym marzenia o klasie okręgowej znów okażą się płonne? Na taką tezę chyba za wcześnie. Zwłaszcza, że tego lata klub zasilili Tomasz Wachowiec, który w ostatnim sezonie reprezentował Stal Niewiadów, a do treningów w LZS wrócili Sylwester Kurnatowski oraz Patryk Kiński - obaj wypożyczeni byli do LKS Różyca i grali tam jeszcze tegorocznej wiosny. Warto dodać, że do szerokiej kadry zespołu włączeni zostali zawodnicy z drużyny juniorów trenera Dariusza Dziedziczaka.

Jak skończy się dla LZS Justynów piłkarska batalia 2019/2020? Działacze są ostrożni w przewidywaniach. Słusznie - w minionym sezonie momentami już prawie witali się z gąską. Ostatecznie skończyło się na czwartym miejscu.

Michał Pietrzykowski, K.S.

REKLAMA

Akademia Piłkarska Andrespolia

zaprasza na treningi piłki nożnej dla dzieci i młodzieży urodzonej w rocznikach od 2004 do 2012.

To co możemy zagwarantować:

- **Doskonałą zabawę** dla zawodników, połączoną z atrakcyjną formą uprawiania sportu a dla rodziców wielkie emocje i radość z kibicowania swoim przyszłym gwiazdom futbolu!

- **Wysoki profesjonalizm** - rozwijanie pasji i talentu poprzez zajęcia treningowe dopasowane do Twoich umiejętności i realizowane we współpracy z licencjonowanymi trenerami UEFA.

- **Wspaniałą sportową atmosferę** - możliwość uczestniczenia w rozgrywkach ligowych, turniejach piłkarskich, sparingach i grach kontrolnych z najlepszymi drużynami w kraju i nie tylko.

ZADZWOŃ 660 568 856

Catoroczny nabór dzieci w rocznikach 2004-2012

email: kontakt@apandrespolia.pl
www.apandrespolia.pl

Akademia Piłkarska Andrespolia





Zartujemy, dowcipkujemy, gotujemy - nasze hobby i fascynacje

Ta pasja jakoś sama się tak przyplątała. W rodzinie nikt nie wędkował. W latach osiemdziesiątych, od szóstego roku życia, na całe wakacje wyjeżdżał do cioci Heleny, do mamy siostry. Ciocia dużo mu w życiu pomogła. Zajmowała się nim - i siostrą - po śmierci mamy. W jej gospodarstwie w Rokicinach był duży staw.



W opowieściach wędkarzy ryba rośnie z czasem. Dla pana Grzegorza każda jest sukcesem, duża czy mała - bez wyjątku. Wędkarstwo, to dla niego dużo więcej niż jedynie łowienie. To woda. W samotności można się wylądzić, przyjrzeć się sobie.

Gawiedź z całej okolicy się zlatywała. Rano było łowienie - wszyscy łowili: karasie, liny, płotki - potem kąpanie. W tamtych czasach dzieci nie pilnowało się tak jak dziś. Byłe wracały na obiad i kolację. Kiedy podrosła, przenieśli się więc nad większy staw do Łaznowskiej Woli.

Jego pasja miała różne etapy. Próbował łowić na Hulance, razem z kolegami z rodzinnego Justynowa rowerami jeździli na Bogdanke, Rochnę, na Lisowice. Kartę wędkarską wyrobił, mając szesnaście lat. Niedługo potem podróżowali już wszędzie - nad Wisłę, Wartę, nad Bug, na stawy do Konina. Potem kumple się poženili i grupa się rozpadła.

W dwa tysiące czternastym roku Grzegorz Grudziński z grupą podobnych jak on zapaleńców zakładał Gminne Stowarzyszenie Wędkarskie „Marysinek”. Formalnie założycielami było czterdziestu. Zasadnicza grupa liczyła jednak około dziesięć osób. Prócz pana Grzegorza byli w niej: Robert Sawidzki, Sławomir Maciejewski, Tomasz Marzec, Tomasz Kowalski i kilku innych. „Marysinek” to grono dobrych znajomych, bywa - przyjaciół. Co jakiś czas do stowarzyszenia przychodzi nowy członek, wbija się w grupę i staje się jednym z nich.

W lipcu dwa tysiące piętnastego roku rada gminy po raz pierwszy podjęła uchwałę o bez-

płatnym użyczeniu stowarzyszeniu dwóch stawów w Justynowie. Jeziorka były zarośnięte. Staw, żeby wyremontować - odnowić groble, wyczyścić dno - trzeba najpierw osuszyć. Jesienią dwa tysiące piętnastego, korzystając z pomocy pracowników Zakładu Gospodarki Komunalnej, rozpoczęli mozolne czyszczenie pozyskanych akwenów. Początkowo trzcinę wycinali ręcznie. Ręcznie przenosili ryby z osuszonych stawów do nieremontowanych. Pracowała dziesiątka, dwudziestka członków stowarzyszenia. Wycinka ruszyła na dobre, kiedy gmina kupiła kosiarkę do trziny. Zamontowaną na łódce, po wodzie trzeba ją jednak było popychać ręcznie. Pracowali od września do grudnia. W grudniu po pas w wodzie... Nie było mrozów, ale nie było ciepło. W pierwszym roku wyczyścili staw przy rybaczówce, wiosną dwa tysiące szesnastego drugi.

Zarybianie to początkowo siedemdziesiąt osiem ryb od pięciu do dwunastu kilogramów każda - karpie i amury. Te ostatnie po to, by im przy zielsku pomogły. Teraz pozbywają się amurów. Odławiają je bez ograniczeń, bo przegięły. Całą roślinność stawową chciałyby wyciąć. Wędkarze żartują, że gotowe by wyjść na brzeg i paść się na trawie.

Grzegorz Grudziński jest członkiem zarządu „Marysinka”. Zajmuje się koordynowaniem

Łowił dziesięciokilogramowe amury i olbrzymie karpie, ale wędkowanie to nie tylko wyciąganie ryb. Zresztą on i tak złowione wypuszcza. Jak jakąś złowi, to i tak za chwilę ryba odzyskuje wolność.



Higiena myśli

dyżurów przy stawach. Członkowie stowarzyszenia pilnują ich codziennie od dwudziestej do szóstej rano. Czasem w Justynowie pojawiają się bowiem „nieświadomi wędkarze”, nieproszeni goście. Wiadomo, są i tacy ludzie, którzy jak jest co, to biorą. Grudziński i inni muszą pilnować, kto łowi. Czy ukradnie się komuś rybę ze stawu, czy samochód z podwórka - na jedno wychodzi.

Na stawy w Justynowie można podjechać na dwie, trzy godziny. To nie musi być wyprawa. To miejsce, gdzie można odpocząć. Wyjść, z domu i po dziesięciu minutach - nawet po siedemnastej, po pracy - być już nad wodą. Rzadko się zdarza, by nie spotkać tam znajomego - o rybach nie pogadać, pogodzie, o polityce. Pan Grzegorz każdą wolną chwilę stara się spędzić nad wodą. W tym roku nawet dzień po powrocie z wakacji nad Sanem, gdzie sto metrów nad ośrodkiem, w którym mieszkała była niedźwiedzia gawra, z dwunastoletnim synem Arturem byli już na Marysunku. Byłe jak najbliżej natury...

Teraz po urlopie jest praca, no i Artur zaczął szkołę - dodatkowy angielski, pływanie i cztery razy w tygodniu piłkarskie treningi. Dówóz na głowie rodziców. Kiedy jednak przychodzi sobota i czas sprzątnia, żona mówi: - Bierz młodego i jedźcie na ryby! Syn od kilku lat już łowi. Karpie po osiem kilo wyciąga. Pani Marta też ma swoje porywy - bieganie - rozumie więc czym jest pasja. Żonę pan Grzegorz znalazł na miejscu, w Janówce, gdzie teraz mieszkają. Początkowo małżonka nie łowiła, ale z czasem zaczęła jeździć z mężem nad wodę - spinning do ręki i z prząkami nawet jej nieźle szło.

Jest sześć rodzajów wędkarstwa: morskie, muchowe, podlodowe, spławokowo-gruntowe, spinningowe i trollingowe, które polega na tym, że przynętę na żyłce lub lince ciągnie się za łódką. Grudziński preferuje spinning, ale łowi też na spławik i gruntowo. Wędkarstwo to dla niego dużo więcej niż jedynie łowienie. To woda. Jeziora są stabilne, rzeki zmienne - ryby dzikie: klenie, jazie, bolenie, certy... Często jest tak, że sam pobyt nad wodą mu starczy. Zarzuca się wędkę i - czy jest coś na haczyku czy nie - wystarczy przyroda. W samotności można się wylądzić, przyjrzeć się sobie, pomyśleć, co zrobić w przyszłości. Łowił dziesięciokilogramowe amury i sześciokilogramowe szczupaki, ale wędkowanie to nie tylko wyciąganie ryb. Zresztą on i tak złowione wypuszcza. Jak jakąś złowi, to i tak za chwilę ryba odzyskuje wolność. W Justynowie mają ryby, które łowione są po kilka razy w roku. Przed laty z Tomaszem Kowalskim gdzieś na Kujawach złowili dziesięciokilogramowego karpia. Helmut go nazwali, wsadzili w beczkę i przewieźli na staw w Justynowie. Po roku Kowalski ponownie na Marysunku go złowił. Helmut był specyficzny, na boku miał trzy duże łuski. Dzięki temu, że drugi raz trafił na haczyk Kowalskiego, powtórnie odzyskał wolność. Pan Grzegorz ma nadzieję, że pływa w stawie do dziś.

Grudziński prawie w ogóle do domu ryb nie bierze. Zasada: „Przyniosłeś to smażyć” kategorycznie go zniechęca. Poza tym, za wyjątkiem szczupaków, sandaczy - wilków wodnych - i okoni ryb słodkowodnych nie je, to po co je brać? Po co brać dużego tarlaka, który po wypuszczeniu wyda tysiące innych ryb. Jak są w stawach okazy, to po to, by pływały w wodzie.

W opowieściach wędkarzy ryba rośnie z czasem, ale to przecież niegroźne. Wędkarze tak mają... Dla pana Grzegorza każda ryba jest sukcesem, duża czy mała - bez wyjątku. Wygraną jest towarzysząca wyprawom nad wodę higiena myśli. Odpoczynek. I wcale nie chodzi o kolejne zwycięstwa w zawodach. Czasem trzeci miejsce jest bardziej wymęczone i bardziej cieszny niż łatwe zwycięstwo. Pasja tworzy regu-

ły, wartości i normy, które budują ludzkie życie. Potrafi je kształtować. To coś, co w życiu jest wryte.

Wędkarstwo nie jest drogą pasją, ale jak kto chce wydać fortunę, wyda. Podstawowe baty do stać można za kilkadziesiąt złotych. Są jednak i takie wędki, za które kupić można samochód - czternastometrowe z karbonu. Grudziński ma sprzęt średniej klasy, bo nie wędka łowi, tylko wędkarz. Rybę złowić można na kij z lasu.

K.S.

Schabowe sakiwki



Składniki:

- 12 plastrów schabu
- pół brokołu
- 20 dag pieczarek
- 20 dag żółtego sera
- 1 marchewka
- 1 czerwona papryka
- 1 cebula
- pieprz, sól
- 1-2 łyżeczki koncentratu pomidorowego

Wykonanie:

Mięso umyć, pokroić w plastry, cienko rozbić, posypać solą oraz pieprzem. Marchewkę obrać i zetrzeć na tarce. Obraną cebulę i oczyszczoną paprykę pokroić w kostkę. Pieczarki oczyścić, pociąć na kawałki i wraz z marchewką podsmażyć na patelni. Następnie dołożyć cebulę i paprykę. Dusić do miękkości. Brokuł podzielić na różyczki, zblanszować - zanurzyć na kilkanaście sekund we wrzątku, a następnie schłodzić poprzez zanurzenie w zimnej wodzie - i dodać do składników na patelni. Chwilę podsmażyć, dodać starty żółty ser oraz koncentrat pomidorowy. Doprawić solą z pieprzem.

Na każdy kotlet nałożyć porcję farszu. Zawinąć ku górze, tworząc sakiwki. Związać nicią i umieścić w wysmarowanym tłuszczem naczyniu żaroodpornym. Piec przez półtorej godziny w temperaturze stu osiemdziesięciu pięciu stopni.

Polecam i życzę smacznego.

*Autorka potrawy:
Ewa Zawadzka*

